

Bo do tanga...

Najbliższe tygodnie dadzą odpowiedź na pytanie, w jakim towarzystwie Sojusz Lewicy Demokratycznej wystartuje w wyborach europejskich.

WINCENTY ELSNER

Byłem zdecydowanym przeciwnikiem tworzenia Zjednoczonej Lewicy przed wyborami parlamentarnymi w 2015 roku. Mój wniosek postawiony na posiedzeniu Rady Krajowej SLD, aby Sojusz startował samodzielnie, przepadł w głosowaniu. Swoje wystąpienie zakończyłem zdaniem: „co będzie, jeśli Zjednoczona Lewica otrzyma 7,9 proc. głosów, a PiS dzięki temu uzyska możliwość samodzielnego rządu”. Pomyliłem się o mniej niż pół procenta.

Jak dobre wino

Po wyborach – jak to Polak po szkodzi – już prawie wszyscy w partii wiedzieli, że „związek partnerski” Millera z Palikotem był błędem. Dlatego kierownictwo partii zapowiedziało zaniechanie tego typu eksperymentów w przyszłości. Szyld SLD miał być obecny podczas każdych kolejnych wyborów.

W wielu powyborczych dyskusjach zwracałem uwagę, że partia może (i powinna) przechodzić przeobrażenia. Niemniej Sojusz Lewicy Demokratycznej, myśląc o powrocie do Sejmu, powinien przede wszystkim liczyć na swoje siły. Znany wszystkim wyborcom szyld SLD – plus liczne i dobrze zorganizowane struktury partii – będą najlepszym gwarantem sukcesu w następnych wyborach. „Bo SLD jest jak stare, dobre wino” – powtarzałem. Dojrzewające z wiekiem. I oczywiście czerwone...

Czy dzisiaj – na parę miesięcy przed kolejnymi wyborami – coś się zmieniło? Tak!

Bryza

Jeden ze znanych polityków przyrównał uprawianie polityki do surfowania. Gdy nad morzem zawieje wiatr. Gdy pojawi się fala. Można surfować. Nie ma jednak szans ten surfer, który chciałby płynąć pod prąd. Ani polityk.

Rok temu zamysł kierownictwa Sojuszu Lewicy Demokratycznej był jasny. Nie opowiadamy się po żadnej stronie POPiS-owej wojny Kaczyńskiego ze Schetyną. Chcemy iść własną polityczną drogą. Niektórzy nazywali ją „trzecią drogą”. Inni – lewicą społeczną. To miał być wyraźny sygnał dla wyborców. „Nie musicie wybierać pomiędzy PiS i PO” – powtarzał wielokrotnie przewodniczący Czarzasty.

Próba stworzenia „trzeciej siły” były rozmowy z Polskim Stronnictwem Ludowym, prowadzone wiosną 2018 roku. I przymiarki do wspólnego startu w wyborach samorządowych. Zamówiony wówczas przez obie partie bardzo obszerny sondaż (na próbie 16 tysięcy respondentów) dał obiecujący wynik. Można było się spodziewać, że w wielu województwach taka koalicyjna lista do sejmiku dorównałaby poparciem obu głównym partiom. Ostatecznie jednak ludowcy nie zdecydowali się na wspólny start.

Przebieg wyborów samorządowych pokazał, że hipotetyczna „trzecia siła” i tak nie miałaby wielkich szans. Tak przynajmniej dzisiaj sędzę. Bo „morska bryza” miała inny kierunek.

Dwa bieguny

Sondaże, sondażami. Nawet najdroższe. I robione stuprocentowo rzetelnie. Ale nic tak dobrze nie oddaje oczekiwań wyborców, jak prawdziwe wybory. Wybory samorządowe pokazały postępującą polaryzację sceny politycznej. Na dwa obozy: PiS i antyPiS. Potwierdza to wiele moich koleżanek i kolegów startujących w ostatnich wyborach. To, jaki program mieli do zaoferowania kandydaci, okazało się dla bardzo wielu wyborców sprawą drugorzędną. Najważniejszym było, czy kandydat należy do „armii” PiS-u? Czy antyPiS-u?

Można oczywiście ubolewać, że decyzja o wyborze konkretnego kandydata lub kandydatki na prezydenta, burmistrza i radnego zapadała w oparciu o tak uproszczone kryteria. Ale trudno. W wyborach też obowiązuje zasada sklepową: „klient ma zawsze rację”. Ostatecznie to wyborcy decydują o wyniku wyborów. Nie politycy.

Uważam, że jedną z najistotniejszych przyczyn słabego wyniku Sojuszu Lewicy Demokratycznej w niektórych regionach Polski była właśnie polaryzacja zapatrywań wyborców. I nie jestem w tym osądzie odosobniony. Dlatego z tamtych wyborów trzeba wyciągnąć wnioski. Żadnemu surferowi nie uda się płynąć pod prąd.

Za Unią

Gdy piszę te słowa, senatorowie debatuje nad budżetem. Sejm już go przegłosował. Można niemal w 100 procentach założyć, że Jarosław Kaczyński nie zdecyduje

się na skrócenie kadencji parlamentu. Tak jak pisałem dwa tygodnie temu. A więc wybory do parlamentu europejskiego będą pierwszymi w tym roku. I staną się czymś w rodzaju prawyborów do parlamentu krajowego. Tak zresztą było cztery lata temu. Dobra kampania Andrzeja Dudy (i zła Bronisława Komorowskiego) oraz ostateczne zwycięstwo kandydata PiS-u miało olbrzymi wpływ na późniejszy sukces Zjednoczonej Prawicy w wyborach parlamentarnych.

Nie trzeba być utytułowanym spin-doktorem, aby przewidzieć, pod jakim hasłem będzie przebiegała kampania w wyborach europejskich. To będzie drugie referendum unijne. Wyborcy PiS-u będą tymi, którzy chcą wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Pozostali wyborcy – okażą się proeuropejskimi. Oczywiście politycy PiS-u będą się zarzekali, że nie planują żadnego „poexitu”. Już to robią. To bez znaczenia. Polityka rządzących – osłabiająca pozycję Polski w UE – jest faktem.

Dla wyborców idących do urn 26 maja nie będzie się liczyła żadna „trzecia siła”. Będzie głosował na PiS. Lub antyPiS. Za Unią. Lub przeciw.

Unia kontra Unia

Wybory europejskie będą trudnym orzechem do zgryzienia dla Jarosława Kaczyńskiego. Dlatego długo zastanawiał się, czy nie skrócić kadencji Sejmu, by najpierw odbyły się wybory krajowe. Jeśli opozycji uda się stworzyć jednolity blok proeuropejski, PiS może te wybory przegrać. Bo zwolenników polskiej obecności w Unii Europejskiej jest cztery razy więcej niż eurosceptyków.

Czy cała antypisowska opozycja będzie w stanie stworzyć jedną listę skupiającą wszystkie siły proeuropejskie? Nawołuje do tego wielu polityków lewicy. „Taki szeroki blok, koalicja wyborcza w wyborach do Parlamentu Europejskiego, powinien po prostu nazywać się Europa” – twierdzi Włodzimierz Cimoszewicz. Mniejsza o nazwę. Wola porozumienia jest – również ze strony SLD. Problemy mogą pojawić się, gdy zacznie się rozmowa o szczegółach. Czyli listach. Bo w tych wyborach jest zaledwie 13 okręgów wyborczych. I tylko 52 mandaty do obsadzenia.

W Parlamencie Europejskim liczącym 705 europosłów (już bez Brytyjczyków) Polska będzie miała niespełna 7,5 proc. reprezen-

tację. Jednakże bardzo ważnym jest, aby w tym gronie znalazło się jak najwięcej przedstawicieli i przedstawicielek sił proeuropejskich. Liczba eurosceptyków i nacjonalistów w Europie rośnie. Wielu z nich wystartuje w najbliższych wyborach. Nie możemy przyłożyć ręki do budowania antyeuropejskich frakcji w samym Europarlamencie. To kolejny argument z wspólnym startem.

Konwencja

Przed Sojuszem Lewicy Demokratycznej trudna decyzja o ewentualnej rezygnacji z samodzielnego startu w wyborach europejskich. I włączeniu się w budowę wspólnego bloku europejskiego. Trudna! Bo z takimi partiami jak Platforma Obywatelska i Nowoczesna zdecydowanie więcej nas dzieli niż łączy. A dla wielu ludzi lewicy ewentualna koalicja wyborcza z partią Grzegorza Schetyny może się okazać równie niezrozumiała, jak cztery lata temu tworzenie Zjednoczonej Lewicy z Januszem Palikotem.

Na początku lutego odbędzie się Konwencja Sojuszu Lewicy Demokratycznej. To wówczas zapadnie wiążąca decyzja dotycząca startu SLD w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Według mojego rozeznania i opinii wielu działaczy, z którymi rozmawiałem, Konwencja prawdopodobnie zaakceptuje zamiar tworzenia wspólnej koalicji proeuropejskiej.

Co na to druga strona? W tym najważniejszy ewentualny koalicjant – Platforma Obywatelska. Rozmowy trwają. Oni też z pewnością mają kłopot. Jak wytłumaczyć swoim wyborcom dogadywanie się z „postkomunistami”.

Może sami?

Jak powiedział Włodzimierz Czarzasty, jeśli wysiłki zmierzające do stworzenia wspólnej koalicji proeuropejskiej spełzną na niczym, Sojusz Lewicy Demokratycznej może wystartować samodzielnie. A konkretnie, w ramach koalicji SLD - Lewica Razem, sprawdzonej już dwa razy w wyborach samorządowych. W wyborach europejskich próg wyborczy dla koalicji jest taki sam jak dla komitetu partyjnego – 5 proc. A więc powtórka ze Zjednoczonej Lewicy nam nie grozi. Co wówczas?

Jestem zdania, że taka formuła startu powinna być ostatecznością. Polaryzacja sceny politycznej może okazać w tych wybo-

rach zdecydowanie silniejsza niż w wyborach samorządowych. I oznaczać utratę jakiejś części poparcia z 6,7 proc. uzyskanego przez koalicję SLD - Lewica Razem w wyborach samorządowych.

Rozważając start lewicy pod szyldem SLD - Lewica Razem, pamiętajmy o najważniejszym tegorocznym zadaniu. Powrocie lewicy do Sejmu. Słaby wynik w wyborach europejskich – poniżej wyniku z wyborów samorządowych – może plany powrotu Sojuszu Lewicy Demokratycznej do Sejmu zniweczyć.

Partia Biedronia

Nie sposób nie wspomnieć o inicjatywie Roberta Biedronia. Dysponującego niezwykłym wsparciem części mediów. Jeśli policzylibyśmy ilość godzin spędzonych w studiu telewizyjnym, na przykład TVN, przez przewodniczącego największej partii pozaparlamentarnej i świeżo upieczonego kandydata na szefa nieistniejącej jeszcze partii, to... Ta proporcja miałaby się jak 1 do 100.

Wypromowana przez media – mimo polaryzacji – partia Biedronia ma szansę na przekroczenie progu w wyborach europejskich. Będzie bowiem dla wielu wyborców pachniała nowością. Moim zdaniem, Biedroń jest w stanie przekonać do siebie 7-8 proc. wyborców. Odbierze głosy przede wszystkim Platformie Obywatelskiej i Nowoczesnej. Ale Sojuszowi Lewicy Demokratycznej również – nie łudźmy się.

Rozważając samodzielny start SLD lub w ramach szerszej koalicji proeuropejskiej nie sposób nie zauważyć nowej siły politycznej – konkurencyjnej dla SLD. Dlaczego nie dogadacie się z Biedroniem – pytają mnie działacze. Odpowiedź jest oczywista dla każdego pragmatyka politycznego. Mimo gładkich słów i uśmiechów, Robert Biedroń nie zdecyduje się na siadanie przy jednym stole z działaczami swojej byłej partii. Bo wówczas ten „zapach nowości” natychmiast by się ulotnił.

Bo do tanga

Wielokrotnie na łamach Trybuny pisałem o celowości startu SLD pod własnym lewicowym szyldem. Dlatego dzisiaj – na cztery miesiące przed wyborami europejskimi – uważam inaczej? Starałem się to wytłumaczyć. Ze tegorocznego „wyborczego tanga” nie da się zatańczyć w pojedynkę.